

Lewica Smoleńskiem silna?

27 kwietnia 2013

Gdzieś na kartach „Lalki” opisana jest scena, w której pannę Izabelę Łęcką odwiedza dwóch dandysów z arystokracji. Młodzieńcy chwalą się, że na przyjęciu jedli kaszę tatarczaną z wykwintnej zastawy. Są zachwyceni, że dane im było uczestniczyć w tak ekscentrycznym posiłku. Czyżby w modnych ostatnio dyskusjach o „lewicy smoleńskiej” pobrzmiwały podobne – co do natury rzeczy – snobizm i moda?

Dyskusja o „lewicy smoleńskiej” toczy się głównie w niewielkich kręgach ideowo-środowiskowych. Warto więc pokrótce przypomnieć kilka istotnych tekstów dotyczących tego określenia i wiążących się z nim dyskusji i interpretacji. Bodaj najważniejszy jest artykuł kilku redaktorów „Nowych Peryferii”: „Smoleńsk, k...!”. Istotna jest również publicystyka Agaty Czarnackiej, która rozpropagowała określenie i z całym zaangażowaniem podtrzymuje debaty na ten temat. Polecam jej artykuł „Lewica smoleńska”, o tyle znamienity, że w krąg tego efemerycznego zjawiska wpada nawet „Nowy Obywatel”, a także lewicujące środowisko katolickie z pisma „Kontakt”. To wszystko nieźle pokazuje definicyjny galimatias. Warto także przeczytać artykuł Katarzyny Kądzieli „Pytam o Smoleńsk...” – to właściwie najmocniejszy tekst, który można by uznać za samookreślenie, nie zaś opis „lewicy smoleńskiej”. Z kolei krytycznie do zjawiska odniosła się Hanna Gill-Piątek w felietonie „Biało-czerwoną wprowadzić”. W dyskusji o lewicy smoleńskiej dość łatwo zatem określić – na podstawie lektury ww. publicystyki – kto używa tego terminu. Ale o wiele trudniej znaleźć środowiska, które identyfikowałyby się z taką nazwą. To także pokazuje, z jak nieczytelnym fenomenem mamy do czynienia.

Można odnieść wrażenie, że lewica w Polsce uwielbia przeskakiwać ze skrajności w skrajność. Jeszcze niedawno poza obyczajowymi hasłami niewiele więcej dostawaliśmy w ramach

główniej lewicowej narracji. Natomiast dziś głowy i pióra aż huczą od Smoleńska. To, co przed chwilą budziło jednoznaczne potępienie i nieledwie wykluczało z małego, lewicowego światka, nagle staje się całkiem nieźle widzianym ekscentryzmem. Jakby goszystem brakowało już innych podniet i postanowili znaleźć sobie nową modę lub pięć minut sławy na publicystycznych salonach, dzięki uruchomieniu „smoleńskiej narracji”, której ujęcie budzi ciekawość także na prawicy.

Przejaskrawiam? Być może. Ale ciekaw jestem, kiedy lewica zajmie się wreszcie, z poczucia przyzwoitości i w imię własnych zobowiązań i tradycji, czymś innym. Na przykład na poważnie podejmie problemy społeczno-gospodarcze i debaty o nich. Podkreślam – na poważnie, czyli bez traktowania ich jako kwiatka do kożucha, jako oboczności czy wątku bez większych konsekwencji dla postaw i własnych założeń ideowych. Bo póki co, jak się wydaje, moda okołosmoleńska przypomina kolejny sposób na ucieczkę od tematów, które niegdyś bardzo interesowały naszych lewicowych przodków.

Nie piszę tego, żeby deprecjonować znaczenie Smoleńska. Nie jestem zwolennikiem ekonomii funkcjonującej poza rzeczywistością społeczną czy kulturową. Interesuje mnie lewicowość także w odniesieniu do patriotyzmu czy religii. Doceniam również fakt, że redaktorzy „Nowych Peryferii” bardzo rzetelnie potraktowali temat „smoleński” we właściwym dla swojego portalu kluczu postkolonialnej i peryferyjnej dyskusji o polskiej specyfice (geo)politycznej. Nie mam jednak pewności, co dalej. Czy nie budujemy kolejnej trampoliny ku nadrzeczywistości? Czy znów nie zapominamy, że mamy bardzo konkretne zobowiązania wobec polskiego społeczeństwa i tych grup, które powinny być punktem odniesienia dla lewicy? Zobowiązania te dotyczą – brzydko mówiąc – bazy. I nie idzie o patos, ale o bardzo prozaiczne uznanie choćby faktu, że fundamentalny podział na prawicę i lewicę dotyczył konkurencyjnych ideologii i sposobów rozumienia polityczności i ekonomii. Odnosił się również do sporu koncepcji

egalitarnych z hierarchicznymi/wykluczającymi, do innego zdefiniowania znaczenia pracy i praw świata pracy, jego odniesienia do beneficjentów kapitalizmu, a zatem klasy średniej, burżuazji i oligarchii.

W moich rodzinnych stronach nie ma już połączeń kolejowych, komunikacja autobusowa też prawie nie występuje. Wiem, że wracam do tych kwestii dość obsesyjnie, ale to jest kawałek (zapomnianej) Polski, z którego wyrastam. To świat niemal zupełnie zepchnięty na margines przez triumfalizm ideologii i ideologów realnego liberalizmu. Wobec kogo odczuwać mam etyczne zobowiązanie lewicowca, jeśli nie wobec miejsc spustoszonych modelem polskiej transformacji? A antyspołeczne przemiany wciąż postępują, sprawnie hierarchizując przestrzeń wedle logiki bogactwa, przywilejów i wpływów. Poza tym młodzi mają problemy ze znalezieniem stałej pracy i określeniem sensownych, długofalowych planów życiowych. Grozi im wieczna prowizorka, praktyczna realizacja neoliberalnej gadaniny o wolności: żyj, wegetuj, prostytutuj się za grosze albo emigruj. Żyj i zgrzytaj zębami – na jawie lub we śnie. Żyj z wdrukowanymi w łepetynę wolnorynkowymi kalkami, choć właśnie przejeżdża ciebie i twoje otoczenie społeczne walec żelaznych, neoliberalnych konieczności, które uczynią cię albo frajerem, albo tępym, amoralnym cwaniakiem, albo nieco dziwnym typem skrajnego indywidualisty, tęskniącego za wartościami i „porządnym społeczeństwem”.

Nieustannie otrzymujemy sygnały o kolejnych formach demontażu prospołecznych funkcji państwa na poziomie centralnym i lokalnym. Mamy za sobą reformę emerytalną, a przed sobą jej skutki społeczne. Mamy zapowiedzi dalszej dewastacji prawa pracy. Platforma Obywatelska nie odpuszcza – jako partia beneficjentów transformacji posiada bardzo silne zaplecze medialne i wciąż dość duże poparcie elektoratu. Bezkarność PO wzmacnia także fakt, że właściwie jej przeciwnicy o sprawach społeczno-gospodarczych myślą często bardzo podobnie. Tyle że ci drudzy wierzą, że Tusk to obecnie socjalista, bo panicznie

szuka pieniędzy także w kieszeniach części swych uboższych wyborców. Oni sami zaś daliby Polsce „prawdziwy wolny rynek”. Pytanie, skąd by go wzięli, uważam za otwarte. Zapewne z czytanek drukowanych w „Najwyższym Czasie”, albo wypożyczyliby go z ambasady USA. W końcu nikt się tak nie zna na wolnym rynku jak Amerykanie, co najdobitniej pokazały niedawne wojny o ropę.

To, co robi rządząca partia, powinno być zatem dzień w dzień na ustach lewicy. Ale na lewicy zaczęliśmy teraz kolejną paplaninę – na temat kaszy tatarczanej. Wyobrażam sobie, jak lekko, łatwo i przyjemnie będą się wzajem przekomarzać publicyści lewicy kawiorowej z „lewicą smoleńską”. Mogę się oczywiście mylić, ale pouczanie albo pochylenie się nad tą drugą może pomóc specjalistom od zarządzania ideami znów odwrócić uwagę publiki od wspomnianych już arcybanałnych, lecz niezmiernie ważnych kwestii bazy. I ponownie okaże się, że zamiast dyskusji o meritum, nawet w kontekście tak drażliwych zagadnień jak „lewica a patriotyzm”, mamy kolejną modę, następną zasłoneż dymną rozsnutą nad rzeczywistością.

Tak, Smoleńsk jest tematem ważnym (geo)politycznie. Warto także w jego kontekście umieć czytać dzisiejsze problemy społeczne i polityczne. Ale moda na „lud smoleński” przypomina nieco paternalistyczne iluzje znanej z XIX wieku chłopomanii. Ta zaś kończyła się albo kompromitacją, albo (wzajemnymi) rozczarowaniami. Historyczny sukces PPS i innych formacji autentycznej lewicy wynikał z klasowego rozpoznania potrzeb i perspektyw mas. W tym sensie „lewica smoleńska” odrobiła co najwyżej część lekcji – określiła się wobec symbolicznego (i realnego) politycznego sporu. Ale lewicę w Polsce odzyskamy dopiero wówczas, gdy ta w pełni świadomie wyniesie na swe sztandary hasła sprawiedliwości społecznej w najbardziej elementarnym sensie troski o realia społeczno-gospodarcze i o jakość państwa. Musimy także pytać o aktywność obywatelską. Powiem w skrócie: zostawmy prawicy miesięcznice, nie sztydząc z nich. Ale sami propagujmy spółdzielczość, uczciwą działalność

pozarządową, wspierajmy – na ile potrafimy – „tematyczne” ruchy społeczne itp. Dopóki tego nie będzie – także „lewica smoleńska” będzie kawiarnianym snobizmem, zabawką doktorantów, publicystów i hipsterskiej lewicy, szukających nowych podniet dla swoich podniebień.

Autor: Krzysztof Wołodźko

Źródło: [Nowy Obywatel](#)

O AUTORZE

Krzysztof Wołodźko (ur. 1977) – na ogół publicysta, bloger (www.consolamentum.salon24.pl). Pisał i/lub pisze m.in. do „Trybuny”, „Życia Duchowego”, „Znaku”, „Gazety Polskiej Codziennie”, „Kontaktu”, portali Teologii Politycznej, deon.pl, ngo.pl. Uczestnik cyklu dokumentalnego „System 09” i „System: rewolucja Solidarności”. Członek Zespołu „Pressji”. Redaktor „Nowego Obywatela”.